Ner 8. Kraków 24 lutego 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *Hercoka* na Halickiém.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni.

Kobiety na Wschodzie.

(Dokończenie.)

Dziewice z Armenii są najmilszemi Wschodu aniołami. Oczy ich mają coś z tęsknoty lubieżnéj Turczynek i z lśniącego połysku ócz Greczynki. Włosy ich błyszczącego hebanu spadają bujnie, falisto w około pięknéj twarzy, a lica pysznie zabarwione, „bierze ochota ukąsić brzoskwin czerwonych policzków“, powiada poeta. Barwa całéj skóry jest odcieniem najskrytszych w pączku róży listków. Kształty tych półaniołów są smukłe, lecz zarazem oznacza je wspaniałość i nadobność. Piękność ich malowniczą podnosi jeszcze strój orientalny, czerwone pantofelki, błyszczące zielone lub błękitne mantylki i długi po ramionach spadający welon biały. Utrzymują niektórzy, że Armeńki co do umysłu są dość ograniczone, wszakże inni tłomaczą ten przymiot zbyt wielką skromnością i pokorą.

Co do kąpielni w Konstantynopolu, każda dzielnica miasta ma publiczne dla kobiet łazienki, albo też łaźnie męzkie w 2 lub 3ch dniach tygodnia służą wyłącznie dla kobiet do użytku. Lecz panie te przekładają udawać się do jak najodleglejszych przedmieścia łazienek. Rzadko się tam udają zasłonione pojedynczo, lecz najczęściéj w licznem przyjaciółek gronie. Już pewien czas naprzód oznaczają sobie dzień i miejsce, aby do tego celu przygotować się należycie, tj. napiec rozlicznych smakowideł, które z niémi idą do kąpieli.

W dniu tym uroczystym raniéj niż zwykle wstaje *hanum*, ubiera się w najpiękniejsze suknie, i czeka na *arabas* lub *kaik*, w którym ją mają zanieść do kąpieli. W wodzie ciepłéj lub gorącéj przepędza tam największą część dnia w gronie towarzyszek. Palą fajki, śpiewają, grają w gry rozmaite, śmieją się i żartują i drażnią wzajemnie, pluskając na siebie wodą. Bez wielkiéj różnicy zdarza się to podobnie u kobiet różnéj wiary i narodowości.

Następują innego rodzaju wycieczki, tj. pielgrzymki do grobów sułtańskich. Każdy sułtan ma swój osobny grobowiec, *turbe;* toż samo każdy *Scheich ül Islam*, wysoki kapłan wiernych. Grobowce te w rozmaitych leżą miasta okolicach, a im odleglejszy który, tém chętniéj do niego udają się kobiety w celu spaceru, w celu wzajemnego zobaczenia, się i zaspokojenia swéj ciekawości, a i w celu rozmyślań pobożnych.

Do podobnych spacerowych przyjemności należą także klasztory, *(Tekiès)*, mianowicie *Mevlevis*, klasztory tańczących derwiszów. Każdy z klasztorów tych odznacza się szczególnemi praktykowanemi w nich figurami. Jeden przyciąga wiernych i wierne muzyką, w drugim produkcyja najlepszych tańców, inny słynie zręcznością derwiszów, którzy straszliwie *a'la Donato* wirując, wściekle ciało swe w różne strony łamiąc i wykrzywiając, zwabiają liczne tureckie bigotki. Z szczególną przyjemnością wszystkie *hanum* przyglądają się tym tańcom i hecom, wyprawianym przez tych w pasie tylko odzianych *bektaschis*. Derwisze ci wykrzywiają swą twarz w okropny sposób, długiemi żelaznémi igłami przekłuwają swe ciało, gałki oczne wywracają w oczodołach, świecąc tylko białkówką — i wiele innych rzeczy umieją, na które czcicielki proroka z podziwem i uwielbieniem patrzą i oceniają. Klaszczą z przepełnionéj uciechy, na fale powietrzne rzucają mile wyrazy zachwytu, które po falach tych dochodzą do ucha derwiszów — w ogóle nigdzie z taką nie bawią się rozkoszą, jak tém duchowo-cielesném igrzyskiem, produkowaném przez *bektaschich.*

Schadzki towarzyskie wieczorem rzadko w haremach następują, raz dla tego, że wszelkie zgromadzenia przy oświetleniu haremów wieczorem sprzeciwiają się zwyczajom tureckim; powtóre, że pasza i pół księżyc o téj porze zajrzeć tam ciekawi. A gdy wieczór taki towarzyski gdzie jednak czasami nastąpi, żaden na nim mężczyzna znajdować się nie może. Wieczór taki zowie się po turecku *khalvayedessi*. *Khalva* jest to przypieczona mączna zamieszka z miodem, która podawaną bywa zaproszoszonym na ten wieczór gościom, a całemu wieczorowi i zgromadzeniu użycza swéj nazwy.

Wieczory więc takie jak mówiliśmy, rzadko następują, a mianowicie w szczególnych tylko wypadkach, jak: w dzień jakich urodzin, lub zapaszopójścia, lub gdy pan Turek, mąż *hanum* wydającéj wieczór, jakiéj wyższéj w urzędzie dostąpił godności, lub nareszcie,

gdy dwie śmiertelne przyjaciółki pozornie się jednają.

Zaprosiny wówczas nie rozciągają się tylko do mahometanek, lecz do chrześcijanek także tam zamieszkałych, lub nawet obcych, jeżli tychże mężowie stoją z panem haremu w przyjaźni, związku, lub są interesem jakowym związani.

W godzinę po zachodzie słońca rozpoczyna się *Khalva.*

Damy po większéj części przybywają pieszo, wyprzedzane przez negrów lub eunuchów latarnią ciemne ulic przejścia oświecających. *Dschardschee*, panny honorowe wychodzą naprzeciw, — następuje powitanie i ukłon orientalny, *temena*, a po wyczerpaniu wszelkich witalnych komplementów, wprowadza się damy przybyłe do garderoby. Tu zdejmują *feredsche, yaschmak* i trzewiczki. Służbowy eunuch prowadzi je następnie przez pokoje do salonu gościnnego, stosownie do stanowiska i znaczenia kobiety, poświecając jéj naprzód lub też podtrzymując tylko łokieć rączki.

W salonie bogato szyte makaty okrywają ściany, o te oparte wełniane i jedwabne ze złotemi frenzlami poduszki. Całą posadzkę pokrywa bogaty dywan, lub pyszne maty egipskie zdobne w arabeski. Prócz tego mnóstwo taburetów, sof i krzeseł, na sposób już europejski. Oświetlenie wspaniałe *a giorno.* Wszystko prawie zresztą.... *comme chez nous.* Brak tylko niestety! na ałłacha! męskich dijalogów.

Pani domu siada na końcu dywanu, miejscu zaszczytném i przyjmuje gości swych wyrazem: *„Sefa yeldiniss, khosch yeldiniss!“* co znaczy: Witam was z przyjemnością i szacunkiem! Z skrzyżowanemi nóżkami usiadają wokół panie, miejsce honorowe po prawéj stronie gospodyni najznakomitszéj z pośród siebie zostawiając damie, lub odzyskanéj przez panią domu przyjaciółce.

Rozpoczyna się gruchanie i szczebiot. Służące podają zapalone *tschibuk*, roznoszą *scherbet*, rodzaj limonijady, w małych porcelanowych filiżaneczkach, *fildschans*, wnoszą na srebrnych płytach słodycze. Tymczasem zabawa daléj się toczy. Młode dziewice popisują się z muzyką i śpiewem, wszyscy dziwią się ich biegłości wykrzykami zdziwienia, pochwałami przesadnemi. *Tout cela comme chez nous.* Po muzyce następują tańce i pantominy, przy których kastaniety, sandur, mandolina i małe cymbałki także swoje robią. Fajeczki nie próżnują, lecz ciągle odświeżane błękitnemi dymki napełniają pokój. Obok gimnastyki, ruchów i języczka, garełka łykają nieustannie zastawiane owoce, cukry, kawę, salep; to znika szybko, następuje gra w karty. Mimo zakazu Proroka wolne są i gry hazardowne. Po téj nareszcie zabawie pani domu trzy razy zaklaśnie: muzyka ucicha, pierwsza *dscharieeh* staje i głęboko skłoniwszy się, słucha wyrzeczonego przez panią rozkazu: „Przynieś *khalvę!*“

Ta okazuje się przyniesiona na wielkiéj srebrnéj płycie *(cini,)* z innémi do jedzenia zastawami. Koło tego panie się grupują i z zajęciem pracują na zbawienie żołądka, pijąc do tego sorbety i wodę. Wino dozwolone dopiero w przyszłém życiu, w ogrodzie rozkoszy, *(Janat al Naim)*, gdzie płynąć będzie strumieniami wśród brzegów kwiecistych, w piżmowém łożysku, o brzegach z kamfory; w ogrodzie tym można będzie ucztować bez nasycenia, pić bez upojenia — a huryski będą miały dar odmładzania się. Tak zapowiedział Mahomet.

Tymczasem — przy *Khalvie* obiega w koło spory kawał płótna, złotemi obszyty niémi, służący za serwety.

Nareszcie też i dzień a raczéj noc dobiega swego koła, grupy niektórych kobiet i dzieci nie jedzą już dość dawno i nie paplą tj. śpią w najlepsze, nikt jednakże nie może się ruszyć ku wyjściu, dopóki najznakomitsza z dam gościnnych nie zrobi początku. I ta więc spojrzy wreszcie na czasomiar i żdziwiona woła: „Na Allacha! Tak już późno, to już czwarta godzina z północy!“ Pani domu protestuje i wątpi, żeby było tak późno, — nic nie pomaga, wszyscy w to uwierzyli, a wiarę wzmacnia poziewanie. Wśród tysiąca grzeczności, czułostek pożegnalnych, mnóstwa buzi i dziękczynień, wyruszają. Płacz dzieci przebudzonych, poszukiwania w garderobie, przywoływania negrów i służących. Ogromny rozruch. Tak kończy się *Khalva.*

POWIEŚĆ O MATCE.

(Z Andersena.)

Nad kolebką dziecięcia siedziała matka bardzo strapiona, drząca z obawy, że dziecię umrze. Biedne maleństwo blade, miało oczka zamknięte, a ciężki oddech jego podobny był długim westchnieniom. Matka coraz to smutniejsza zdawała się pilnować młodéj duszy jego.

Ktoś zapukał do drzwi: był to biedny starzec otulony grubą płachtą, bo zima była bardzo sroga. Lód i śnieg pokrywał wszystko, a wiatr dął ostry, przejmujący.

Starzec cały drżał od zimna, więc matka, gdy dziecię na chwilkę zasnęło, przyniosła garnuszek piwa i postawiła na kominie, żeby się rozgrzało. Czekając na nie, starzec usiadł koło dziecięcia i kołysał je. Matka usiadła z drugiéj strony kolebki i czuwając nad słabém maleństwem, którego oddech coraz trudniejszym się zdawał, wzięła drobną rączkę jego.

— Prawda, rzekła, że ja je uratuję? Dobry Bóg nie zechce mi je wziąść. Lecz starzec, (a była to właśnie Śmierć), odpowiedział tylko dziwném skinieniem głowy, co mogło zarówno znaczyć tak i nie. Matka pochyliła czoło, łzy płynęły jéj po licach. Omdlała, bo już trzy dni i trzy nocy nie zamknęła oczu. Sen ją na chwilę opanował; lecz prawie natychmiast zerwała się drżąca i skostniała.

— Co to jest? wykrzyknęła, oglądając się na wszystkie strony.

Niestety! starzec zniknął i uniósł z sobą małe dziecię.... Zegar w kącie wybijał takt; ołowiana ważka upadła na podłogę, zegar zatrzymał się.

Biedna matka wybiegła z domu, biegła przed siebie wołając za dziecięciem.

Po nad drogą w śniegu, siedziała niewiasta w długich czarnych sukniach, ta odezwała się:

— Starzec Śmierć wstąpił do twojéj izby, widziałam go, jak wychodził ztamtąd i niósł na rękach twoje małe dziecko, idzie on prędko, prędzéj niż wiatr. A co ci raz zabrał, nie powróci już nigdy.

— Powiedz mi tylko, którą drogą poszedł, odrzekła matka, pokaż mi drogę, już ja go potrafię dogonić.

— Znam ja drogę, odpowie niewiasta czarno ubrana; lecz jeżeli chcesz żebym ci ją wskazała, musisz mi pierwéj zaśpiewać wszystkie pieśni, któremiś kołysała cierpienia twojego dziecka. Lubię je, bom je tyle razy słyszała; bo ja jestem Noc. Widziałam wszystkie łzy płynące z ócz twoich, kiedyś je śpiewała.

— Będę śpiewać ile zechcesz, tylko nie zatrzymuj mnie, żebym mogła odnaleść moje dziecię.

Noc milczała; wtedy matka wyciągnęła ręce, śpiewała, płakała. Było tam wiele pieśni, ale jeszcze więcéj łez. Nakoniec rzekła Noc:

— Idź na prawo, w ciemy las sosnowy; tamtędy starzec uprowadził dziecko twoje.

W głębi lasu krzyżowały się drogi; nie wiedziala którą obrać. Spostrzegła obok krzak cierniowy, bez liści i bez kwiatów, i jakby emaliowany śniegiem, który błyszczał przymarznięty do gałęzi; tak twardą była zima.

— Niewidziałeś, nie przechodzila tędy Śmierć z mojém małém dziecięciem? zapytała krzaku.

— O widziałem, odpowie krzak; ale ci nie powiem, w którą stronę poszli, chyba, że mnie na swojém sercu ogrzejesz. Mróz mnie ściął, niedługo skonać mi przyjdzie.

Matka przycisnęła cierniowy krzak do swego łona, mocno, żeby go rozgrzać; ciernie raniły jéj ciało, krew jéj ciekla dużemi kroplami. Lecz krzak cierniowy pokrył się świeżemi zielonemi liśćmi, a nawet kwiaty wypuścił w pośród mroźnéj nocy zimowéj; mocne bo też jest cieplo bijące z serca strapionej matki. Potém krzak cierniowy za jéj trud wskazał jéj drogę.

Przybyła nad brzeg wielkiego jeziora, nie było promu ani łodzi. Jezioro nie było ani dosyć zamarznięte, żeby ją mogło unieść, ani dosyć plytkie, żeby go wpław mogła przejść; a jednak koniecznie przebyć je musiała, żeby swoje dziecię odebrać. Położyła się na ziemi, aby wyczerpać jezioro, pijąc je. Był to zamiar niepodobny, ale biedna matka myślala sobie, że jakiś cud jéj pomoże.

— Nie licz na to, rzecze jezioro; raczéj oto ulóżmy się wzajemnie. Lubię namiętnie perły, a nie widziałem nigdy tak świetnych, jak dwa twoje oczy. Jeżeli zechcesz dać mi je, wraz z twojémi łzami dla zbogacenia mojej kolekcyi, to cię zaniosę aż do wielkiego ogrodu, gdzie mieszka Śmierć i gdzie przechowuje swoje drzewa i swoje kwiaty. Każde drzewo i każdy kwiat, przedstawia życie jednego człowieka.

— Ach cóżbym nie dała, by tylko dojść do mego dziecięcia, odpowie matka cala już zapłakana, i płakała daléj, tak płakała, że oczy jéj nakoniec upadły do fali, gdzie się zamieniły w dwie drogocenne perły.

Jezioro pochwyciło ją, i jak gdyby siedzącą na łodzi zaniosło za jednym rzutem na przeciwny brzeg. Było tam dziwne domostwo, bardzo obszerne. Nie wiadomo, czy to była góra z lasami i jaskiniami, czy raczéj kupa kamieni i surowego budulcu. Lecz biedna matka nie mogła nic tego widzieć, zostawiwszy oczy swoje w jeziorze, jako zapłatę za przewóz.

— Gdzież znajdę starca Śmierć, który porwał moje dziecię?

— Pan jeszcze nie przyszedł, odezwała się stara niewiasta, która kopała dół, pilnując wielkiego ogrodu. Lecz jakimże sposobem dostałaś się ty tutaj? Za czyjąż sprawą?

— Dobry Bóg to sprawil, on jest miłosierny, i ty będzież miłosierną. Pokaż mi moje małe dziecię.

— Nie znam go, a ty nie widzisz. Wiele drzew i wiele kwiatów uschło téj nocy, Śmierć przybędzie wkrótce, żeby je unieść. Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie istoty ludzkie, mają według budowy swojéj, swoje drzewo, albo swój kwiat życia. Są to rośliny takie jak drugie, tylko, że oprócz tego, mają serce, które bije. Szukaj więc, czy zdołasz rozpoznać serce twojego dziecka; lecz cóż mi dasz za to; żebym cię nauczyla, co masz potem robić?

— Nie zostało mi już nic do dania, odpowie zgnębiona matka; lecz jeżeli chcesz, pójdę ci na koniec świata.

— Nie mam tam żadnej potrzeby, nie, daj mi raczéj twoje długie czarne wlosy. Rada się w nie ustroję, a dam ci natomiast moje białe, zawsze to lepiéj, jak nic.

— Nic więcéj? rzekla matka, o bierz, bierz prędzéj.

I dała swoje piękne wlosy w zamian za staruchy. Poczem weszły obie do wielkiego ogrodu Śmierci. Drzewa i kwiaty rosly tam w dziwnym bezładzie. Widać było słabiuchne hiacynty pod dzwonami szklannemi, obok wielkich i silnych słoneczników. Były tam nawet rośliny wodne, jedne świeże i uśmiechające się, ukwiecone świecącemi się skrzydelkami powietrznych owadów, inne ponure i słabe, obsiadły je płazy i czarny rak gryzł nieustannie ich łodygę. Były tam również wspaniałe palmy, dęby i wiązy, a pietruszka i tymianek mięszały woń swoją z ich cieniem. I każde drzewo i każdy kwiat, miał swoje nazwisko. Było to nazwisko człowieka żyjącego jeszcze, czy to w Chinach, czy w Grenlandyi, gdziekolwiek na świecie. Wiele wielkich drzew

było pomieszczonych w małych doniczkach i zdawało się, że lada chwila rozsadzą je. Dalej mały, nieznaczny kwiatek wyrastał w ziemi bujnéj i głębokiéj, na słodkiém łożu z mchu, chuchany i pieszczony. Lecz matka szukała między najskromniejszemi roślinami; czuła, jak pod rękami jéj biły ludzkie serca, i w pośród tysiąców poznała serce swojego dziecięcia.

— Oto jest! wykrzyknęła, obejmując oboma rękami mały krokosz (?) *(crocus)*, który owiędle pochylał się ku ziemi.

— Nie dotykaj kwiatu, rzekła starucha, ale usiądź tutaj, a gdy starzec nadejdzie, nie pozwól mu go wyrwać i zagroż mu, że zrobisz tak samo z wszystkiemi innemi kwiatami, to on się przelęknie, ponieważ odpowiada za nie przed dobrym Bogiem, bez którego pozwolenia żaden, jakkolwiek byłby słaby, nie ma być wyrwany.

Nagle zawiał po ogrodzie zimny wiatr, po czém poznała matka, że starzec przybył.

— Skąd wiedziałaś drogę do tego ogrodu? zapytał, jakeś ty mogła biedz prędzéj odemnie?

— Jestem matką.

I nagle pokryła całkowicie obiema rękami mały kwiatek zagrożony, uważając przytem, żeby i jednego listka nie uszkodzić. Na to nieprzyjaciel jéj dmuchał jéj na ręce, a dotknięte tym podmuchem mroźniejszym jak wiatr zimowy, opadły ręce bezwładne.

— Widzisz więc, że nie potrafisz walczyć ze mną rzekł straszny starzec.

— Lecz Bóg dobry będzie wiedział, coś ty uczynił.

— Ja robię tylko to, co on chce, jestem jego ogrodnikiem. Wynoszę ztąd te kwiaty i te drzewa tylko na to, żeby je przenieść do wielkiego ogrodu rajskiego, tego czarodziejskiego miejsca. Co się tam staje, co się tam dzieje, nie mogę ci tego powiedzieć.

— Oddaj mi moje dziecię, rzekła matka łkając: potem pochwyciła każdą ręką piękny kwiat i wołała do starca:

— Połamię wszystkie twoje kwiaty, bo jestem w rozpaczy!

— Nie dotykaj! mówisz, że jesteś nieszczęśliwą, a chcesz zrobić również nieszczęśliwą inną matkę.

— Inną matkę! jęknęła biedna niewiasta, i natychmiast puściła kwiaty.

— Oto oczy twoje, mówił daléj starzec, złowiłem w jeziorze, gdzie błyszczały jak gwiazdy! nie wiedziałem, że to były twoje. Odbierz je sobie, a teraz, kiedy widzisz jeszcze lepiéj jak przedtem, spojrzyj w głąb téj oto studni przed tobą: zobaczysz tam kolejno obraz całej przyszłości dwóch istnień ludzkich. Powiem ci potem, do których się kwiatów odnosi, a dowiesz się, co chciałaś zamącić i zniszczyć.

Nieszczęsna zrobiła, co jéj powiedziano: widziała zrazu obrazy radości i szczęścia; życie czyste, sławne, którego dobroczynny wpływ daleko po świecie się rozpromieniał; lecz widzenie zmieniło się: smutek, zmartwienie, zgroza i nędza; w takich barwach rysowało się drugie istnienie.

— Te dwa przeznaczenia od woli Boga zależą, rzekł starzec.

— A któryż jest kwiat nieszczęścia? a który błogosławieństwa? pytała go matka.

— Wszystko co ci mogę powiedzieć, odrzekł, jest to, żeś widziała przeznaczenie twojego dziecięcia i przeznaczenie jednego z kwiatów. któreś chciała wyrwać. Ale nie wolno mi powiedzieć, które przeznaczenie zgotowane dla twego dziecięcia. Czy masz jeszcze odwagę?

— Ach, krzyknęła przestraszona matka, ja mam wystawiać dziecię moje na tak okropną niepewność! Nie! nie, skoro nie mogę więcéj wiedzieć, wolę raczéj, żeby było zachowane od tych wszystkich boleści: zatrzymaj je, zanieś do królestwa bożego. Nie zważaj na moje łzy, nie zważaj na moje prośby, ani com mówiła, ani com zrobiła!

— Postanowiłaś więc? zgadzasz się na utratę dziecięcia, byle tylko szczęście jego było zapewnioném?

Matka upadła na kolana i wyciągnęła ręce:

— Boże mój, zawołała, nie wysłuchaj mnie, jeżeli błagam przeciwko woli twojéj, która jest najlepszą; nie wysłuchaj mnie! nie wysłuchaj mnie!

I upadając pod ciężarem rezygnacyi, pochyliła głowę na łono swoje.

A Śmierć uniosła dziecię do krain nieznanych. —

Nie zwij sierotą!

(Odpowiedź na wiersz p. n. „SIEROTY" umieszczony w 2. Nrze „Kaliny".)

Nie zwij sierotą — samotne dziecię
Nad świeżą matki mogiłą,
Nad niém Opatrzność, nad niém Bóg przecie,
O! on mu matkę zastąpi miłą.

Nie zwij sierotą — młodéj dziewicy,
Ze skarbem uczucia w łonie;
Są jeszcze serca w polskiéj ziemicy,
W których uczucie szlachetne płonie.

Nie zwij sierotą — wieszczego ducha,
Strojnego w iskry natchnienia —
Jego serdeczny nasz naród słucha;
Jemu niech odda swe myśli — pienia. —

O nie sierotą — kto ojcem Boga,
Ojczyzną Polskę nazywa,
I komu ona nad wszystko droga —
O wierz mi, tego dola szczęśliwa! —

Alma K.—

Szczęście.

O! kocham bliźnich choć światem się brzydzę,
A słodkie jarzmo niosę Zbawiciela, —
Mego świętego krzyża się nie wstydzę,
I pośród cierpień mam uśmiech wesela.

Miałam aniołki dwa — dziś mam mogiły —
Jednak w rozpaczy łamać rąk nie trzeba;
Modlitwa daje zbezsilnionym siły,
Więc stoję cicha — i tęsknię do nieba.

Miałam swój domek dawnemi łatami
Pełen spokoju — jasny uśmiechami —
Dziś ja wygnanką; lecz nie wiem co trwoga,
Idę — nie płaczę — bo idę do Boga!

Wśród burz, co ziemią trzęsą, ja bez domu
Z pogodném okiem stoję pośród gromu,
I szukam w niebie prośby gorącemi
Wszystkiego, com tu straciła na ziemi.

N. N.

Kobiety dramatów Słowackiego.

I.

(BALLADYNA.)

Balladyna. — Alina. — Wdowa.

(Ciąg dalszy.)

Alina jest przeciwstawieniem Balladyny, poeta po mistrzowsku uwydatnił różnicę światła i cienia. Balladyna przedstawia się nam jak ciemna chmura, oświecona krwawemi błyskami zbrodni, Alina robi na nas wrażenie lekkiego białego obłoczka, zaromienionego przed słonecznym promieniem. Dusza jéj nie ma ciemnych zakątów tajemnic, z uczuć swoich spowiada się jasno i szczerze, gdy przeciwnie mowa Balladyny jest albo nienaturalna, albo urywana i niejasna. Ta niejasność i zagadkowość owéj kobiety alabastrowéj, z oczami co jak węgle błyskają pod rzęsą, budzi w nas trwogę i niepokój. Kiedy Kirkor, niepewny którą wybrać za żonę, pyta: któraż z was będzie mnie więcéj kochała po ślubie? Balladyna sili się okazać mu swą miłość w bezgranicznych poświęceniach. — Alina przyobiecuje tylko: „kochać i być wierną“ — i kocha nie dla tego:

Że wielki rycerz, pan możnego dworu,
Że ma karetę złotą, złote szaty;
A jednak miło mi, że chodzi w złocie,
Że miecz ma jasny, służebników krocie,
Bo to jak rycerz w bajce, co się rodzi
Z wielkiego króla i w lesie znachodzi
Jakąś zaklętą królewnę.

Z taką naiwnością spowiada się dusza rozkwitając pod promieniem pierwszéj miłości. Z pod rozchylających się listków wychodzą marzenia o rycerzach, królewnych jak woń przecudna więziona długo w zamkniętym kielichu. I to poczucie pierwszéj miłości idzie u Aliny w parze z miłością swéj rodziny.

Jeśli mnie wybierzesz
Szlachetny panie — to musisz obiecać,
Że mnie do zamku twojego zabierzesz
Z matką i siostrą. —

Nawet gotowa dla siostry poświęcić te pierwiosnki uczuć. —

Jeżeli wielkiéj doznajesz rozpaczy
To powiedz.
. . . .
O moja siostro — wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową:
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowéj siostrą.

I zrobiłaby pewnie to ustępstwo, gdyby nie słyszała często: „wieczór pod osiną — sto pocałunków siostry z kochankiem pasterzem, o których z dziecinném zgorszeniem wspomina — a ona ma serce czyste „i przysięgając nie złamie przysięgi“.

Silniéj jeszcze uwydatnia się ta rażąca różnica charakterów dwóch sióstr rodzonych w akcie II. w lesie przy jeziorze Gople, gdy dwie siostry zbierające maliny schodzą się ze sobą. Balladyna jest niespokojna, pomięszana, myśl zbrodni oślepiła ją, że błądzi po lesie i malin znaleść nie może; przeciwnie Alina czysta, niezmącona namiętnością z swobodą i lekkością uwija się wśród malin przyśpiewując sobie wesoło, rozmawia z trawką, z kwiatami — a spotkawszy się z siostrą, pustuje i chichocze się. Ten wesoły humor siostry rozdraźnia Balladynę, podczas gdy Alina brzęczy jak pszczółka rozgadawszy się, jéj ledwie pojedyncze słowa wychodzą z ust ściśniętych namiętnym gniewem i myślą zbrodniczą. Niewinność siostry, jéj swoboda, wesołość, wszystko przyprowadza Balladynę do wściekłości, ona nie dla malin zabija ją, ale dla tego, że nie może znieść blasku jéj cnotliwéj duszy, że przy niéj traci sama. Jest to nienawiść jaką ma cień do światła, zbrodnia do cnoty. — Alinę zaczyna niepokoić wzrok siostry,

O nie zbliżaj się do mnie z takiemi
Oczyma — nie wiem — ja się ciebie boję —

woła cofając się jak zlękniona gołąbka.

To ostatnie jéj słowa — potém jeszcze słyszymy cichy jęk konania — i wszystko ucichło. — To dziewczę niewinne, naszkicowane przez poetę z miłością i wiernie, wchodzi na scenę, by wyspowiadać się przed ludźmi słowiczym głosem ze swoich marzeń, powiedzieć

kilka słów serdecznych — i znika. Raz tylko potém zjawia się jako cień z dzbankiem pachnących malin na głowie i więcéj jéj nie widzimy. A jednak ona jest ciągle działającą osobą w dramacie — niewidomie stacza ona wciąż walkę z siostrą — walka odbywa się za granicami świata zmysłowego — w duszy zbrodniarki, budzi w niéj trwogę objawiając się jéj, to w trumnie przysłanéj z drogi przez Kirkora, to w słowach pustelnika — to w skardze Filona, owego sentymentalnego pasterza.

Filon jest tutaj ogromnym anachronizmem. Każdy widzi, że to jest postać wzięta żywcem z sielanek 18go stulecia, kiedy sielanko-pisarze swoje własne sentymenta ckliwe przebierali za pasterzy i przyprawiali im fujarki do ust. Dla czego poeta tę postać, imieniem nawet samém zdradzającą epokę swego pochodzenia, przeniósł w przedhistoryczne czasy, nie umiem sobie wytłómaczyć, chyba kaprysem, którego sobie geniusze pozwalają. W galeryi Weneckiej widziałem ucztę u Faryzeusza, (nie pamiętam już, którego z malarzy,) gdzie przy stole niedaleko Chrystusa siedzi doża, a za nim dwór jego i psy ulubione. Malarz pozwolił sobie tego nadużycia może przez kaprys — może dla przypodobania się doży. — Słowacki coś podobnego zrobił dla zażartowania sobie z owéj chorobliwéj sentymentalności sielankowéj, na jaką chorowała u nas muza przed Brodzińskim, a nawet i po nim.

Filon jest człowiek, który sam nie wie czego chce, a raczéj chce tego, czego niema; łzawy kochanek smutku, chorujący na urojone cierpienia a niemający łzy dla wielkich, rzeczywistych cierpień drugich; to człowiek szukający wymarzonego ideału na ziemi, „przez co (jak powiada pustelnik) tyle zestarzałych panien dotąd się mężów swych nie doczekało“. Ten Filon, który koło żywéj, śmiejącéj się, różowéj Aliny przeszedłby nie spojrzawszy nawet na nią, nad umarłą rozwodzi żale i kocha się w trupie. Ale ta miłość marzyciela nie biorąca początku w sercu lecz w fantazyi równie jak boleść — jest tylko afektacyją. —

O mój aniele! ty śmierci kochanka!
O jak miłośnie twoja ręka biała
Ujęła czarny dzbanek — z tego dzbanka
Płyną maliny — a z alabastrowéj
Piersi wytryska drugi taki strumień
Piękniejszy barwą od krwi malinowéj.

Znałem jednę damę, która dowiedziawszy się o nieszczęściu bardzo ją obchodzącéj osoby, batystową chusteczkę poniosła do oczów, by płakać i równocześnie spojrzała w zwierciadło dla skontrolowania czy pięknie płacze. Coś podobnego widzimy w Filonie, z tą różnicą, że on nie siebie, ale umarłą ogląda i boleje nad jéj piękną śmiercią i zwyczajem wszystkich sentymentalnych kochanków coprędzéj obładowuje się pamiątkami po niéj. —

Pozwól, że ułamię
Gałązkę z wierzby, pod którą upadła
Kochanka moja, okropnie zabita.
Tum ją zobaczył — tu pokochał — stracił —
Wprzód nim pokochał. —

Czy to nie jest typ owych platonicznych amantów, którzy za jedyne świadectwo swego życia mają: gitarę, paki piżmowych listów, zasuszonych kwiatów, liści i włosów kochanek? Poeta zużytkował tę bezużyteczną istotę przynajmniéj do dźwigania ciała Aliny i do wywodzenia skarg na zabójczynię przed królową. Innych i do tego nawet zużytkować trudno.

Filon, jak powiedzieliśmy, jest anachronizmem — w całości jednak dramatu figura ta, jakkolwiek nie jest niezbędną, jest jednak na swojém miejscu, stanowi bowiem antitezę do rumianego i prozaicznego Grabca; są to dwaj reprezentanci miłości, jeden platonicznéj, a drugi zmysłowéj.

Wracając od Filona do Aliny, chciałbym jeszcze kilka słów powiedzieć o zjawieniu się jéj cienia podczas uczty i w ogóle o znaczeniu wszystkich zjawisk fantastycznych w tym dramacie. Poeta używa ich bardzo umiarkowanie i to z głębokich psychicznych przyczyn. Każdy doświadczył zapewne nieraz, że gdy myśl nasza czém żywo i silnie zajęta, wtedy to, o czém myślimy, tak nam się żywo przedstawia, że zdaje nam się, jakoby ta myśl wyszła z nas i widomie stanęła przed nami. Doświadczają tego szczególniéj ludzie, obdarzeni żywą wyobraźnią i ztąd biorą początek owe niezliczone baśnie o duchach, które gdzieś ktoś własnemi miał widzieć oczami; — gdy tymczasem są to złudzenia wywołane nienaturalnym stanem duszy i silnym nastrojem fantazyi. Takie złudzenia usprawiedliwiają w poezyi wprowadzanie świata nadzmysłowego — uczucia, myśli i usposobienia wewnętrzne poeta ubiera w kształty cielesne. Przyznam się, że téj apologii duchów w poezyi nie stworzyłem sam, powtarzam tylko to, com słyszał na ławach uniwersyteckich, powtarzam dla pięknych czytelniczek, które nie miały przyjemności siedzenia na tych ławach, a powtarzam dla tego, że mi to potrzebne do wytłómaczenia zjawisk fantastycznych w Balladynie.

Kiedyż duch Aliny zjawia się Balladynie? W chwili, gdy ta, słysząc pieśń ludową o zabiciu siostry, uprzytomnia sobie żywo zbrodnię swoją — wtedy cień blady Aliny z dzbankiem malin na głowie (właśnie tak, jak ją widziała w owym czasie), staje przed nią. Weźmy inne zjawisko. Kirkor w akcie drugim wchodząc w dom wdowy, patrząc na jéj dwie urodne córki, słyszy jakieś cudowne pienia w powietrzu śpiewane przez Skierkę. Cóż dziwnego, że człowiek zakochany słyszy anielskie tony — te melodyje, to wyrób jego własnéj duszy — Skierka jest jéj zewnętrznym wyrazem. Daléj Skierka mając sobie nakazane od Goplany (tj. bóstwa natury), aby rozkochał Kirkora w jednéj z córek wdowy — nie

wiedząc o której Goplana mówiła, stroi obie w wieńce, kwiaty, obiedwie otacza urokiem piękności. Potworna dusza Balladyny ma równie nadobne kształty i cudną urodę, jak anielska Alina. Ta bezwzględna hojność natury staje się właśnie powodem tragicznego zawikłania. Kirkor powierza swoje szczęście losowi i przegrywa.

Ale za cóż cierpi matka, ta matka tak kochająca swoje córki, tak pragnąca ich szczęścia. Właśnie zbytek téj miłości matczynéj jest błędem, który jéj ciężkie gotuje przejścia. Matka marzy wciąż o mężu w złotéj karecie, o królewiczu jakim, albo wreszcie kuchcie lub koniuszym, byle z książęcego dworu. Ona pierwsza pokazuje córkom niezadowolnienie z wiejskiéj chaty, z niskiego pochodzenia. Potém na dworze Kirkora wstydzi się swoich dawnych przyjaciółek i nie każe ich wpuszczać do zamku. Balladyna więc zapierając się tego pochodzenia, zapierając się matki własnéj — jest zwierciadłem błędu matki, tylko potworném, spaczoném; bo kiedy błąd matki uniewinnia miłość rodzicielska — samolubną córkę nic nie uniewinnia.

O ile postacie Aliny, Balladyny są ideałami, cnotami i zbrodniami ubranémi w kształty kobiece, o tyle sama matka jest czysto studium z natury, z całą prawdą oddaném. Widzimy w niéj kobietę prostą, a poczciwą, śmieszną nieraz, gdy się sili nastroić do wyższego tonu, płaską i niesmaczną mowie, gdy się pozbywa naturalności, ale zawsze sympatyczną dla nas przez tę miłość do córek, która stanowi całą treść jéj życia. Możemy o niéj z Aliną powiedzieć: „że to jéj do twarzy, kiedy śni głośno o szczęściu swych córek." W akcie czwartym ta cicha i nieśmiała kobieta, wstępuje na tragiczną koturnę; z łachmanami wieśniaczéj sukni, co jéj z ciała zlatują, odpadają śmieszności i niesmak czyniące małostki, a zostaje posąg boleści. Od słów:

Nie znasz — ty matki nie znasz? — matki twojéj?

ta matka imponuje nam grozę swojéj sytuacyi i słów swoich. Słuchajmy, co mówi przebudzona ze złudnego snu o szczęśliwości swej jako matki, słysząc że ją córka wypędzić każe:

Urodziłam z siebie,
Trumnę dla siebie — o Boże mój, Boże

(Służalce na znak dany chwytają ją za ręce.)

Puszczajcie!.. córko! — niech pomyśli! — córko!
O córko! pomyśl! — ale tam na dworze
Ciemno, deszcz pada, a piorun pod chmurką.
Czeka na siwy włos mój, by uderzył!
Patrzaj przez okno — grom nie będzie wierzył,
Jak mnie zobaczy samą w taką burzę,
Że ja nie jestem jaką zabójczynią,
Co się po nocy błąka —

(Ciągną ją na znak gniewliwy Balladyny.)

Powiem chmurze,
Niech bije w zamek gromem. Nie targajcie,
Ja pójdę sama. Świat teraz pustynią
Dla starej matki.

BALLADYNA.

Chleba kawał dajcie

WDOWA.

Bodaj cię chleb ten zadławił! zadławił!
O! nie targajcie, bo i tak podarta
Sukienka moja. Wiatr się będzie bawił
Z łachmanem starej matki. O! to czarta
Córka! — nie moja — nie moja — nie moja! —

Jak olbrzymieje w oczach naszych ta pokorna postać schylonéj staruszki, jakiéj tytanicznéj siły nabierają jéj słowa, wymęczone z piersi, pod naciskiem cierpienia. Idźmy za nią w ciemną noc. Burza nad lasem huczy, szaleje. Scena ta przypomina rzeczywiście podobny ustęp w królu Learze — ale podobieństwo to jest koniecznem. I Shakespeare i Słowacki jakąż chwilę w naturze mogli obrać za tło strasznéj boleści ojca i matki, wypędzonych przez własne dzieci — jak burzę? Ten niespokój w naturze, te szalone wichry, pioruny i błyskawice — to zewnętrzny obraz wnętrza dusz tych rodziców. Pogodne niebo byłoby tu urągowiskiem — współcierpienie natury jest tu odpowiedniejszém. Balladynę dreszczem przejmuje ta sympatyczna natura.

Słyszysz (mówi do Kostryna) jak burza się wścieka.
Dzwonią deszczowe rynny. W téj okropnéj burzy.
Słyszę głosy płaczące.

To jednak nie skłania ją, aby posłała odszukać matkę, która, pozbawiona wzroku od pioruna, błądzi po lesie i trafia na chatę pustelnika. Boleść jéj wylewa się w słowach, jak mętny potok wezbrany po burzy:

Grafini moja córka, wielka pani,
A ja na wietrze z głową taką białą —
Mówię piorunom: bijcie, bijcie we mnie!
I nie chcą słuchać. A w zamku zebrani
Pijący sobie winszują wzajemnie,
Że córka moja pije, wielka pani —
Czy ty rozumiesz? Ma zamek i wieże —
Grafini —

PUSTELNIK.

Jak się córka twoja zowie.

WDOWA.

Zowie się córką, ale ja nie wierzę,
Ażeby ona miała oczy w głowie,
Oczy, co płaczą. W taką zawieruchę,
W takie pioruny na deszcz wygnać matkę,
Co ją karmiła, co piersi ma suche,
Starością suche — a włos taki biały,
Jak co świętego.

Tak skarży się nieszczęśliwa matka i idzie do króla prosić o sprawiedliwość, prosić, „by ją córka kochała". Ale patrzcie! Gdy usłyszała, że na córkę za tę nieludzkość ma wypaść wyrok śmierci, skarga cichnie jéj na ustach i na torturach nawet nie chce wyznać na-

zwiska złéj córki. Jakaż to ogromna potęga miłości matczynéj, jak wzruszająca serce. Wyciągnięta na torturach milczy. —

Każda kosteczka wywiędła i sucha
Przez rozciągniętą skórę wyglądala
Prosząc o litość —
i nic nie wydała.
Umarła cicho. — A na suchéj twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
A w obu dołkach stoją łzy.

Niepodobna na zimno czytać tego dramatu, nerwy drgają jak struny uderzane co chwila i szarpane namiętnością i boleścią działających osób. Tragiczność sytuacyj jest przerażająca, pełna strasznego efektu. Balladyna i jéj matka jakież to role ogromne, ileż tu pola do rozwinięcia talentu artystek jak p. Hofman i Modrzejowska? Dziwić się trzeba, dla czego dotąd niewidzieliśmy Balladyny na scenie krakowskiéj, która wszelkie po temu siły posiada. Przedstawiano ją dotąd raz tylko na scenie lwowskiéj — nie wiemy jak tam wypadła, szczególniéj w scenach fantastycznych, których nie pominięto — a do których trzeba muzyki dorównywającéj malowniczością i wdziękiem tekstowi. Również nadpowietrzna Goplana i lekkie sylfy Chochlik i Skierka nie mogą być na scenie reprezentowane przez osoby nieodznaczające się wcale lekkością. Lepiejby może opuścić te miejsca niż parodyjować.

Zakończając rozbiór Balladyny, nie mogę przemilczeć o epilogu, w którym autor dał szczutka poważnym dziejopisom — tak jak w samym dramacie dostało się po nosie gazeciarzom, co językami walczyli po Gnieznie przeciw Balladynie. Królowa drogą łaski każe im wybić zęby i wyłamać szczęki. — Jakkolwiek nie sympatyzuję wcale z krwawą Balladyną, ale w tym względzie trzeba pochwalić jéj zmysł polityczny, że swoje panowanie chciała uwolnić od tych chorągiewek, które kręcąc się za wiatrem wypadków, co chwila zmieniają ton i kierunek. — Na dziejopisie Wawelu wymierzyła sobie publika sprawiedliwość — wygwizdaniem za to, że nie stojąc za kulisami wypadków — a sądząc tylko z rezultatów — nazwał śmierć królowéj prostym wypadkiem — ją zaś cnotliwą z powodu mądrości — a ród jéj od Obotrytów i Amazonek wywodzi. — Tym humorystycznym epilogiem usprawiedliwił się poeta dla czego w dziejach przedchrześcijańskich nie trzymał się kronik, ale poetycznego instynktu, który nie pochlebia królom i śledzi przyczyn za kulisami zdarzeń.

ROZMAITOŚCI.

Uniwersytet żeński. O czém w Europie najśmielsze życzenia kobiet jeszcze nie zamarzyły, to w *nowym świecie* jest już dokonanym czynem. W Poughkeepsie mieście o 1500 mieszkańców, o kilka mil od Nowego-Yorku, wznosi się gmach Vassar-College mieszczący pierwszą dotąd na całym świecie wyższą szkołę żeńską, mającą według statutu prawo wydawania dyplomów doktorskich z umiejętności, które tam są wykładane. Po lewéj stronie głównego gmachu jest gwiaździarnia, po prawéj sale do jazdy i gimnastyki. Gmach główny długi na 500 stóp obejmuje 497 oddziałów, a mianowicie oprócz 400 pokoi mieszkalnych i sypialnych dla uczennic zakładu, kaplicę o 780 siedzeniach, bibliotekę, galeryję obrazów, gabinet przyrodniczy, sale wykładowe, mieszkania prezydenta, dyrektora, nauczycieli i nauczycielek, matron i gospodyń, kuchnią, pralnią, łaźnią, piekarnią, mieszkania dla służby i kancelaryje dla administracyi. Cały gmach opala się parą, oświeca gazem i wszędzie rozprowadzona rurami woda, co oprócz wygody ubezpiecza przed ogniem. Bardzo dogodnie urządzone są mieszkania uczennic. Co trzy sypialnie i pracownie wychodzą do wspólnego pokoju mieszkalnego tak, że każda z trzech razem mieszkających może być kiedy chce samą u siebie, albo razem. — Rano zgromadzają się wszyscy w kaplicy. Dzień zajęty naukami, obiad wspólny, gimnastyka i przechadzki. Po kolacyi zgromadzają się wszyscy na poufną pogadankę o kobiecych sprawach pod przewodnictwem pryncypałowéj zakładu. Na tych pogadankach nie bywa mężczyzn. (C. d. n.)

— **Opera polska** w Krakowie, która staraniem p. Dunieckiego tak świetnie się rozpoczęła, przestala już istnieć. P. Duniecki objął był przedsiębiorstwo opery na siebie, lecz pokazało się, że niemógł przystać na warunki nałożone przez p. Skorupkę i odstąpił mu napowrót przedsiębiorstwo. P. Skorupka zaś dał dymisyją członkom opery. Taki jest o ile wiemy przebieg téj sprawy. — Oprócz krzywdy jaką przez to ponosi w ogóle teatr, miasto i artyści, zadziwia jeszcze ta okoliczność, że p. Skorupka puścił to przedsiębiorstwo właśnie przed zbliżającym się postem, kiedy opera znakomite kasie teatralnéj mogła przynosić korzyści.

— Wczoraj odbył się **koncert** na dochód p. Dunieckiego, a w niedzielę 3go marca odbędzie się w południe **pożegnalny koncert** artystów byłéj opery polskiéj pp. Borkowskiego, Niedzielskiego, Sochaczewskiego. Należy się spodziewać, że miłośnicy muzyki zechcą w istocie licznem zebraniem się pożegnać ulubionych artystów, których razem z młodziutką operą zawistne stosunki z Krakowa wydalają.

— Zaproszenia na **bal kostiumowy** już rozesłano. Z tego, cośmy słyszeli o dotyczących zarządzeniach, wypada nam zrobić trzy uwagi: kierujący tańcami powinni być bez masek — inaczéj nikt ich rozumieć nie będzie; — jakkolwiek wstęp na galeryją jest droższy jak na salę, maski jednak powinny mieć i na galeryją wolny przystęp — wymaga tego charakter zabawy; — przy wstępie na salę nie powinny być odbierane bilety, które są imienne, tylko numera odrywane — inczéj osoby przebrane zależałyby z swojém *incognito* od dyskrecyi odbierających.

— P. ***Marek Sokołowski***, słynny gitarzysta, bawi od kilkunastu dni w naszém mieście. Z powodu natłoku karnawałowych zabaw nie mógł dotąd znaleść sposobności do dania koncertu i tylko w prywatnych kółkach dał się słyszeć.

— P. ***Braun***, emigrant, który w r. 1863 i 4tym przez dłuższy czas na Zamku w Krakowie był uwięziony, otworzył w Genewie **zakład artystycznéj litografii**. Nadesłane nam roboty „widoki z nad jeziora genewskiego" odznaczają się wielką czystością wykonania. Życzymy jak najlepszego powodzenia temu zakładowi i sądzimy, że niniejsza wiadomość przyjemną będzie dla wielu znajomych, których p. Braun miał w Galicyi.

Korespondencja „Kaliny".

J. S. w Lw... Z nadesłanych nam wierszy jeden tylko został przyjęty. Prozę zużytkujemy w danym razie jako materyjał.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.